

## Grzegorz Sobaszek, Wszystkojedność (fragment)

11. À propos ognia. Niech Jurko Kuternoga, nazwiskiem Waleszczuk, smaży się w piekle przez całą wieczność albo jeszcze dłużej, jebaniutki

Do niedawna, tak nawet jeszcze dwa lata temu, w Nowej Woli było życie. A w każdym razie regularnie przez nią przejeżdżało, bo przez wieś prowadziła droga wojewódzka. Podziurawiona jak ementaler, ale za to szeroka jak autostrada. Podskakiwały na niej brzęczące ciężarówki, naczepy, przyczepy, dostawczaki i rozklekotane osobówki. Kierowcy często zatrzymywali się pod sklepem Lewiatan, by uzupełnić braki prowiantowe, głównie konserwy, papierosy, napoje niskoprocentowe, a czasem drobne podarunki dla przydrożnych dziewcząt. W letnie weekendy przez wieś sunął sznur osobówek zmierzających w stronę zalewu Siemianówka, a potem w przeciwnym kierunku, do Białego-stoku. Niektóre samochody ciągnęły za sobą łódki albo małe żaglówki. Wystarczy, że co pięćdziesiąty zatrzymał się pod Lewiatanem. Członkowie rady starszych, którzy na ławce przed wejściem obradowali przy piwie we wszystkie dni w roku, wyłączając święta prawosławne i katolickie, mieli przynajmniej na czym oko zawiesić. A to trafiła się motorówka, a to podjechała lśniąca cysterna, a to jakaś fajna babka z auta wysiadła i dupcią zakręciła tak, że wszystkim gały z orbit powypadały.

Właściciele sklepu też sobie chwalili, bo przejezdni potrafili czasem i za stówę się obkupić, nie to miejscowe gołodupce. Ale gdy ta pierdolona, w mordę jebana Unia Europejska, jak mówili o niej mędrcy spod centrum rozrywkowo-informacyjnego Lewiatan, dała piniąжки na obwodnicę Nowej Woli, chuj, za przeproszeniem, bombki strzelił.

Skoro nie ma już drogi wojewódzkiej, po co tu wjeżdzać? Wieś jak wieś, ani gorsza, ani lepsza, panie dziejku. Może jakby znalazł się jakiś sponsor, co by krzywą wieżę postawił, jak w Pizie albo w Ząbkowicach Śląskich, to jakaś zawsze to atrakcja by była, ale tak? Jedno skrzyżowanie, jeden sklep, kilkadziesiąt zwyczajnych podlaskich chałup, no i cerkiew pod wezwaniem św. Jana Chrzciciela — więcej niż skromna z zewnątrz, jeszcze skromniejsza w środku. Regularnie zaglądał tu jedynie batiuszka Iwan i kilkanaście jego nie pierwszej młodości owieczek, z których połowa była głucha jak pień, więc to, co najpiękniejsze w liturgii prawosławnej, czyli pieśni, dla postronnych słuchaczy byłoby istną torturą. Można by uznać, że to dlatego nowowolcy płci męskiej chodzili do cerkwi od wielkiego dzwonu. Wielkanoc, Boże Narodzenie, Świętego Jana, chwacit.

Patrząc nie ma na co, słuchać żal, a i spowiadać się nie ma z czego, bo w Nowej Woli mieszkają dobrzy ludzie, a w każdym razie tacy na świat przyszli, dopiero później dopadły ich kultura z cywilizacją i jednego z drugim cokolwiek wykoślawiły. Dlatego czasem w jednego z drugim musiał wstąpić jakiś demon i nawywijać. Ktoś komuś przyłożył — dajmy na to mąż krnąbrnej żonie lub krowie, czasem się jeden z drugim poróżnił, raz wygrał, raz przegrał, na sińcach i obolałej dumie się kończyło.

Nowowolców od pokoleń dopadały wyłącznie czorty niższej rangi. Podkuszony przez diabełką, jeden obrobił wdowie szopę z drewnem, drugi wyniósł z Lewiatana piwo, trzeciego znowu coś za-

świerbiło w duszy tak, że by zachorował, gdyby do lasu śmieci nie wywiózł. Robili jeden z drugim te miniskurwysyństwa niekoniecznie, żeby od razu tam komuś przykrość sprawić, lecz by od czasu do czasu poczuć, że jeszcze im krew w żyłach żwawiej płynie.

Młode z Nowej Woli powyjeżdżali do Białegostoku albo i na Zachód, żeby jaką taką perspektywę zobaczyć. Ostatni młody był Jurko Kuternoga, nazwiskiem Waleszczuk. Miał czterdzieści osiem lat i nie wyjechał, bo mu rodzice zaniemogli tak, że z łóżek już się nie ruszali wcale, a tylko jego mieli, więc latał wokół nich, karmił, robił zastrzyki, mył im dupy i chlał na umór, żeby to jakoś wytrzymać. Opowiadał pod Lewiatanem, że jak starzy wyciągną kopyta, to gospodarstwo agroturystyczne otworzy, kupi kozy i sery będzie robił, ale gdy wreszcie jedno po drugim w odstępie trzech miesięcy wyciągnęli kopyta, wziął i wystawił ziemię na sprzedaż, jebaniutki.

Tutejsi zaczęli o nim mówić jebaniutki, gdy tylko dowiedzieli się, komu ziemię sprzedał. Nowowolcom słowa nie powiedział, a zgłoszenie faktu o takiej randze regulowane jest tu przez niepisaną umowę sąsiedzka, ale nawet gdyby takiej umowy nie było, wymagałaby tego zwykła ludzka przyzwoitość. No bo jak można bogu ducha winnych sąsiadów narazić na towarzystwo nie wiadomo kogo. Gdyby, jebaniutki, w porę się nie ulotnił, obiliby mu za to pysk należycie.

Sołtyska Tymoszewicz Teresa pierwsza się dowiedziała, bo w urzędzie gminy siostrzenicę nie tylko z dobrego serca posadziła, lecz i dla obopólnych korzyści, więc kiedy siostrzenica zadzwoniła, żeby powiedzieć, że ośrodek mają w Nowej Woli budować jakiś, sołtyska Tymoszewicz czym prędzej ludzi po domach z nowiną obesła, a zaraz potem do Michałowa pojechała, osobiście porozmawiać z burmistrzem gminy. Burmistrz nie potwierdził, nie zaprzeczył, więc dwa dni później, nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności, dom Jurka Kuternogi zapalił się od pioruna. Nie byłoby w tym może nic nadzwyczajnego, gdyby nie to, że od ładnych paru tygodni burze omijały Podlasie szerokim łukiem.

Pewne rzeczy trzeba jednak przyjmować na słowo, więc tutejsi policjanci dali wiarę zapewnieniom o piorunie i śledztwo umorzyli. Nie takie cuda natury jak piorun bez burzy się na świecie każdego dnia dzieją przecież.

W urzędzie gminy w Michałowie powiedzieli sołtysce, że tych od ośrodka pożar jednak nie zniechęcił. Nowi właściciele podobno nawet się ucieszyli, bo i tak mieli dom Jurka Kuternogi do gołego rozbierać.

Burmistrz przynajmniej przyrzekł sołtysce, że na dwieście procent to nie będzie ośrodek dla narkomanów, zboczeńców i, nie daj boże, cudzoziemców, a dokładniej rzecz ujmując imigrantów, a szczerze i po ludzku rzecz nazywając, jak to się teraz zwykło mawiać, roznoszących choroby islamistów.

Ale sołtyska Tymoszewicz łatwowierna nie była, więc zapobiegawczo stanęła okoniem, wyjeżdżając burmistrzowi z argumentem, że już mają w Nowej Woli jedyne w Polsce wiejskie hospicjum onkologiczne, a do tego jeszcze świetlicę dla upośledzonych, więc tej dobrotliwości i goś-

cinności jak na jedną wioskę może już wystarczyć. Niech sobie ten jaśnie wielmożny dobroczyńca ośrodek w Kazimierowie, Juszkowym Grodzie, Pieńkach albo chociażby w Suszcy postawi, a od Nowej Woli się, w bawełnę nie owijając, porządnie odpierdoli.

Sołtyśka Tymoszewicz się najeździła, naprosiła, nagroziła, a pół roku później i tak na ziemi je-baniutkiego Kuternogi stanęły dwa wielkie budynki, szopa i ambona, otoczone wysokim drewnianym ogrodzeniem. No a kiedy wyczytali z tablicy na bramie, że ośrodek terapeutyczny dla kobiet Prałda ma być, nowowolcy się zde gustowali.

— Noż job twoju mać, jeszcze nam tutaj lizbijek i powariowanych fiministek do szczęścia brakowało! — powiedziała sołtyśka Tymoszewicz do rady starszych pod centrum rozrywkowo-informacyjnym Lewiatan.

— Święte słowa, job twoju mać — odpowiedzieli zgodnie członkowie rady, niczym chórzyści z greckiej tragedii.

I już wiadomo było, że spokoju we wsi nie będzie. A z całą pewnością spokoju dla fiministek.